

JANUSZ KRUPSKI

ur. 1951; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Warszawa, Lublin, PRL
Słowa kluczowe	niezależny ruch wydawniczy, opozycja w PRL, życie polityczne, stan wojenny (1981-1983), represje

Porwanie w stanie wojennym

W czasie jednego z wyjazdów do Warszawy, to było 20 stycznia [1983 r.], jechałem wtedy w towarzystwie Joanny [Puzyny], która jechała do swoich rodziców, a ja chciałem odwiedzić znajomych, na dworcu w Warszawie przy wysiadaniu z wagonu zauważyłem, że chodzi za mną młody człowiek. Pomyślałem, że właściwie po co on ma za mną chodzić, gdzieś go za najbliższym węglem na dworcu zgubiłem, wsiałem do tramwaju i pojechałem w Warszawę swobodny. Przebywałem w różnych miejscach w Warszawie, a nocowałem wtedy u Urszuli Gromysz, niewidomej osoby, koleżanki mojej narzeczonej.

[21 stycznia] jednym z ostatnich punktów miało być spotkanie u Magdy Jeglińskiej, siostry Piotra Jeglińskiego, która miała przyprowadzić Elżbietę Nalewczyńską. Byłem już przekonany po zatrzymaniu, że na pewno agentem jest Hanka Borucka, ale chciałem się upewnić, bo miałem jeszcze pewne wątpliwości co do Nalewczyńskiej. Kontakt z nią miała Magda Jeglińska i do spotkania miało dojść w jej mieszkaniu na Mokotowie, w samodzielnie stojącym domu czy segmencie. Kiedy już się tam zbliżałem, to zauważyłem, że blisko tego domu stał charakterystyczny biały fiat z kilkoma osobami w środku, ale wszedłem do Jeglińskiej, wypiliśmy herbatę. Czekałem godzinę na Nalewczyńską, ale ona nie przyszła. Wobec tego pozostało mi trochę czasu, a byliśmy umówieni, że będziemy wracać do Lublina razem z Joanną, i poszedłem do księgarni ORPAN w Pałacu Kultury. Zapadał zmierzch, to było popołudnie.

Kiedy wychodziłem z księgarni, przy drzwiach zauważyłem grupę mężczyzn, z których jeden był zwrócony twarzą w moim kierunku, rozpoznałem w nim jednego z oficerów Służby Bezpieczeństwa z Lublina, który u mnie kiedyś przeprowadzał rewizję. Twarzy dwóch mężczyzn, którzy byli odwrócony plecami, nie widziałem. Pomyślałem sobie, że to chyba koniec mojej wędrówki po Warszawie. I rzeczywiście, jak wyszedłem z Pałacu Kultury, zszedłem z pierwszych stopni, podjechał fiat i usłyszałem z tyłu tylko swoje nazwisko: „Krupski?”. Nawet nie odpowiedziałem i

wylądowałem w samochodzie między dwoma mężczyznami. Było już ciemno, po godzinie szesnastej, przed wyjściem z Pałacu Kultury spojrzałem na zegarek. W milczeniu jechaliśmy w stronę Żoliborza, mijając Pałac Mostowskich, w którym odsiedziałem ileś godzin po moim zatrzymaniu kilka miesięcy wcześniej, w październiku, przed przewiezieniem mnie do Lublina. Myślałem, że jest to rutynowe zatrzymanie, nie wdawałem się w żadne rozmowy z nimi, ale kiedy zaczęliśmy mijać Warszawę, zobaczyłem kierunek na Laski, przerwałem ciszę i zapytałem jednego z siedzących obok: „Czy zamierzacie mnie tutaj rozwalić?”, a ten odpowiedział w taki dziwny sposób: „Zgubiliśmy drogę, bo chcieliśmy pana zawieźć do Gdańska, gdzie pan zdradził swoich kolegów”. Kiedy to usłyszałem, to wzruszyłem ramionami i na tym skończyła się rozmowa.

Jak mijaliśmy Laski i Izabelin, to wiedziałem, że jedziemy do Puszczy Kampinoskiej i nie bardzo wiedziałem, gdzie droga z tej puszczy może prowadzić, poza skojarzeniami, które to mi niosło. W miejscowości Truskaw zauważyłem, że jest końcowy przystanek autobusu nr 708, który kursował w kierunku Warszawy, na Żoliborz. Odbiliśmy od tego ronda polną drogą w głąb lasu. Wydawało mi się, że nawet niedaleko ujechaliśmy. W pewnym momencie samochód się zatrzymał, jeden z oficerów powiedział mi, żebym wysiadał, trzymał mnie za rękę przez cały czas jak już wysiadłem, a na wysokości głowy trzymał pojemnik, który kojarzyłem, że jest pojemnikiem z gazem paraliżującym. Ale ja się nie szarpałem, nic nie mówiłem. Drugi stanął obok mnie, wyciągnął jakąś torbę z samochodu, a samochód odjechał ze dwadzieścia metrów, cofnął się i oświetlał reflektorami tych kilka stojących osób. Kazali mi ściągnąć kurtkę, buty, ale nie ściągnąłem ani swetra, ani koszuli, kazali położyć się na ziemi i jeden z nich, on się nazywał [Ryszard] Skokowski, przygiął mnie do ziemi. Zauważyłem tylko, jak wyciągnęli z torby dużą butlę i poczułem od szyi po pośladki piekący ból. Nie wiem, czy straciłem na chwilę przytomność czy nie, ale jak się ocknąłem, to ich nie było, nie było samochodu. Włożyłem buty, do których wylali resztkę tego płynu, miałem taki półkożuszek i tam również od wewnętrznej strony była plama tego płynu, który potem okazał się mieszaniną fenolu, ługu i lizolu. Czułem tylko piekący ból i potworny smród, ostry nawet na otwartej przestrzeni.

Zacząłem biec w kierunku, w którym spodziewałem się, że jest przystanek. Rzeczywiście, trafiłem prosto na stojący autobus, który chwilę później ruszył. Na tym pierwszym przystanku było chyba jeszcze dwóch pasażerów, potem przybywali następni. Chyba największy problem miałem z tym potwornym smrodem, który roznosiłem, ale nie odzywałem się do nikogo i nikt się do mnie nie odzywał do przyjazdu do Warszawy na Żoliborz, gdzie wyskoczyłem na jednym z przystanków, orientując się, że obok niego jest postój taksówek. Powiedziałem, żeby taksówkarz mnie zawiózł na pl. Henkła i że cuchnę, bo zostałem porwany przez Służbę Bezpieczeństwa, inaczej nie wpuściłby mnie do taksówki. Przyjechaliśmy na pl. Henkła, tam była właśnie Joanna, jej brat i jej ciotka, wezwali od razu pogotowie, a jak wchodziłem do mieszkania, to wyglądałem jak osoba pijana. Karetka przyjechała

dość szybko, lekarze przedstawili się, że są z „Solidarności” i zawieźli mnie do szpitala na ul. Banacha. Tam powiedzieli mi, że muszą zawiadomić milicję o moim porwaniu i że mają takiego pacjenta, czy ja mam coś przeciwko temu. Powiedziałem: „Wasza sprawa”. Zadzwonili, ja stałem przy telefonie i słyszałem, że odbierający ten telefon milicjant zapytał: „Czy pacjent jest pijany”, „Nie”. Na tym się skończyło zainteresowanie sprawą tego milicjanta, który odbierał telefon. Lekarze mówili: „My nie wiemy co to jest. To może być jakaś trucizna, ale w tej chwili nie mamy na ten temat zdania. Możemy pana położyć w szpitalu i przeprowadzić badania. Jeśli pan chce, może wyjść ze szpitala”. Chciałem wyjść, wrócić jak najszybciej do domu. Przenocowałem w Warszawie i pierwszym porannym pociągiem dotarłem do Lublina. Pojechałem od razu do mieszkania [Jana] Stepka, opowiedziałem o całej historii i dopiero później pojechałem do siebie do domu. Następnego dnia przyjechała pani dr [Iwona Żebrowska-]Łupina, w której mieszkaniu moja mamusia sprzątała, i zawiozła mnie na badania do szpitala bonifratrów [św. Jana Bożego]. Tam przeprowadzono analizy, które wykazały składniki tej mieszaniny, którą, jak później się okazało, przygotował na moje plecy pan [Piotr] Grosman. [Dr Łupina] powiedziała mi: „Wie pan co, byłoby dobrze, żeby zachowała się pewna lekarska dokumentacja, tylko musi się pan na to zgodzić”. Zgodziłem się i pojechaliśmy do Zakładu Medycyny Sądowej na ul. Jaczewskiego, tam pani dr Zofia Tomaszewska odebrała ode mnie relację z wydarzenia, z jednym zastrzeżeniem, powiedziała: „Jeżeli pan chce, żeby ta dokumentacja się zachowała, to nie może pan powiedzieć, że pana porwali ubecy, tylko nieznani sprawcy”. Zgodziłem się na to, bo rzeczywiście tych panów nie znałem, więc byli to sprawcy nieznani. I ta lekarska dokumentacja znajdowała się do początku lat 90. w tym zakładzie i można było później z niej korzystać.

Data i miejsce nagrania	2007-11-26, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Piotr Krotofil
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"